

PETER WOHLLEBEN

AUTOR ŚWIATOWEGO BESTSELLERA
SEKRETNE ŻYCIE DRZEW

**DUCHOWE
ŻYCIE
ZWIERZĄT**





PETER WOHLLEBEN

**DUCHOWE
ŻYCIE
ZWIERZĄT**

TŁUMACZENIE EWA KOCHANOWSKA



OTWARTE

KRAKÓW 2017

Tytuł oryginału: *Das Seelenleben der Tiere. Liebe, Trauer, Mitgefühl –
erstaunliche Einblicke in eine verborgene Welt*
by Peter Wohlleben

© 2016 by Ludwig Verlag,
a division of Verlagsgruppe Random House GmbH, München, Germany

Copyright © for the translation by Ewa Kochanowska

Opieka redakcyjna: Olga Orzeł-Wargaskog

Konsultacja terminologii przyrodniczej: dr Mikołaj Golachowski

Opracowanie typograficzne książki: Daniel Malak

Adiustacja: Maria Armata / Wydawnictwo JAK

Korekta: Anna Kopeć-Śledzikowska / Wydawnictwo JAK,
Joanna Hołdys / Wydawnictwo JAK

Łamanie: Andrzej Choczewski / Wydawnictwo JAK

Projekt okładki, wyklejki i ozdobniki w książce: Eliza Luty

Fotografia autora: © Miriam Wohlleben

ISBN 978-83-7515-435-1


OTWARTE
www.otwarte.eu

Dystrybucja: SIW Znak. Zapraszamy na www.znak.com.pl

SPIS TREŚCI

Wprowadzenie	7
Miłość macierzyńska do ostatniego tchu	11
Instynkty – uczucia drugiego sortu?	18
O miłości do ludzi	25
Tłący się płomyk	34
Głupia świnka	45
Wdzięczność	50
Stek kłamstw	54
Łapaj złodzieja!	60
Śmiało!	67
Czarno-białe	72
Ciepłe pszczoły, zimne jelenie	78
Inteligencja roju	87
Ukryte zamiary	92
Tabliczka mnożenia	96
Czysta frajda	100
Pożądanie	103
Mocniejsza niż śmierć	107
Imiona	111

Żaloba	118
Wstyd, żal i skrucha	122
Współczucie	130
Altruizm	136
Wychowanie	139
Jak pozbyć się dzieci?	143
Dzikość nieoswojona	146
Kiszki na grzance	154
Szczególny aromat	158
Wygoda	163
Brzydka pogoda	168
Ból	173
Strach	177
High society	194
Dobro i zło	197
W objęciach Morfeusza	204
Zwierzęcy jasnowidze	209
Zwierzęta też się starzeją	217
Obce światy	223
Sztuczne biotopy	230
W służbie człowieka	236
Komunikaty	240
Gdzie tkwi dusza?	246
Posłowie: krok do tyłu	251
Podziękowania	257
Przypisy	259

WPROWADZENIE



Koguty okłamujące kury? Łanie pograżone w żałobie? Zawstydzone konie? Jeszcze przed kilku laty można by to uznać za przejaw fantazji, życzeniowego myślenia miłośników zwierząt, pragnących komunii dusz ze swymi podopiecznymi. Nie inaczej było ze mną, bo zwierzęta towarzyszą mi przez całe życie. I zawsze – czy chodziło o pisklaka u moich rodziców, który mnie upatrzył sobie na mamusię, czy kozy w leśniczówce, wesołym meceniem uatrakcyjniane nam dzień, czy wreszcie o zwierzęta w lesie, które codziennie spotykam podczas obchodu rewiru – zawsze zadawałem sobie pytanie, co też się może dzieć w ich głowach. Czyżby faktycznie prawdziwe były od dawna powtarzane twierdzenia nauki, że tylko my, ludzie, jesteśmy w stanie doświadczać pełnej gamy uczuć? Czy to możliwe, że przyroda specjalnie dla nas wypracowała wyjątkową biologiczną drogę, która jako jedyna gwarantuje świadome, spełnione życie?

Gdyby tak było, moja książka tu by się skończyła. Bo gdyby człowiek był czymś szczególnym w sensie konstrukcji biologicznej, to nie mógłby się porównywać z innymi gatunkami. Współczucie wobec zwierząt nie miałoby sensu, bo nie byłibyśmy w stanie nawet w przybliżeniu zgadnąć, co też się dzieje w ich wnętrzu. Jednak szczęśliwie natura zdecydowała się na wariant oszczędnościowy. Ewolucja „tylko” przebudowywała i modyfikowała to, czym dysponowała w danej chwili, podobnie jak ma to miejsce w systemach komputerowych. I tak jak w Windows 10 są jeszcze aktywne funkcje z poprzednich wersji, tak samo w nas działają programy genetyczne naszych przodków. I we wszystkich innych gatunkach, których drzewo pochodzenia w ciągu milionów lat oddzieliło się od wspólnej linii. Dlatego też nie ma według mnie dwojakiego rodzaju żałoby, bólu czy miłości. Nie wątpię, że zuchwale może zabrznieć twierdzenie, że świnia czuje tak samo jak my. Jednak prawdopodobieństwo, że zranienie nie wywoła u niej tak nieprzyjemnych odczuć jak u nas, jest bliskie zeru. „Chwila, moment! – mogą teraz zawołać uczeni. – To jeszcze wcale nie jest dowiedzione”. Zgadza się, bo tego nigdy nie da się dowieść. To, czy czujecie tak samo jak ja, też jest tylko teorią. Nikt nie jest w stanie wczuć się w drugiego człowieka, nikt nie może dowieść, że ukłucie igłą wywoła identyczne odczucia u każdego z siedmiu miliardów mieszkańców Ziemi. Jednak ludzie potrafią ujmować swoje uczucia w słowa, a wynik tych przekazów zwiększa prawdopodobieństwo, że na płaszczyźnie uczuć i doznań wszyscy jesteśmy podobni.

Również nasza suka Maxi, która wrąbała w kuchni pełną miskę pyz, po czym przybrała minę niewiniątka, nie była

biologiczną maszyną wszytkożerną, tylko rozbajającym cwaniakiem kutym na cztery nogi. Im częściej i im dokładniej przypatruję się otoczeniu, tym więcej emocji zarezerwowanych rzekomo jedynie dla ludzi odkrywam u naszych zwierząt domowych i ich dzikich krewniaków w lesie. I nie jestem w tym odosobniony. Coraz więcej leśników dochodzi do wniosku, że wiele gatunków zwierząt dzieli z nami niektóre cechy. Prawdziwa miłość między krukami? Uznajemy ją za pewnik. A co z wiewiórkami, które znają swych krewniaków po imieniu? Od dawna udokumentowane. Gdziekolwiek spojrzeć, wszędzie kwitnie miłość, panuje współczucie i buzuje radość życia. Zdążyła się już też pojawić spora liczba prac naukowych dotyczących tej tematyki, jednak zajmują się one jedynie częstkowymi aspektami zagadnienia i często napisane są tak suchym językiem, że nie nadają się specjalnie do odprężającej lektury, no i przede wszystkim do lepszego zrozumienia problemu. Z tej właśnie przyczyny chciałbym wystąpić tu jako wasz tłumacz, przełożyć te fascynujące wyniki badań na język codzienny, poskładać rozsypane puzzle w spójną całość i przyprawić szczyptą własnych obserwacji. W rezultacie otrzymamy obraz otaczającego nas świata zwierząt, w którym opisane gatunki zmieniają się z tępych biorobotów, napędzanych sztywnym kodem genetycznym, w wierne dusze i uroczych łobuziaków. Bo one takie właśnie są, co możecie zobaczyć podczas spaceru po moim rewirze, wizyty u naszych kóz, koni i królików czy w parkach i lasach w waszej okolicy. No to jak – idziemy?

MIŁOŚĆ MACIERZYŃSKA DO OSTATNIEGO TCHU



Był gorący letni dzień 1996 roku. Dla ochłody ustawiliśmy z żoną brodzik ogrodowy pod cienistym drzewem. Rozsiadłem się wraz z obojgiem moich dzieci w wodzie i zjadaliśmy ze smakiem soczyste plastry arbuza. Nagle zarejestrowałem kątem oka jakieś poruszenie. Coś rudego kicało w naszą stronę, ale co i rusz nieruchomiało na moment. „Wiewiórka!”, wykrzyknęły zachwycone dzieci. Moja radość ustąpiła jednak szybko miejsca głębokiemu zaniepokojeniu, bo wiewiórka po kilku susach przewróciła się na bok. Najwyraźniej była chora, a po kilku kolejnych susach (w naszą stronę!) zobaczyłem na jej szyi pokaźne obrzmienie. Według wszelkich danych mieliśmy do czynienia z cierpiącym, może nawet dotkniętym wysoce zakaźną chorobą zwierzęciem. A ono powoli, ale zdecydowanie zmierzało w stronę brodzika. Już chciałem dać dzieciom sygnał do odwrotu, gdy

raptem sytuacja uległa zmianie i przerodziła się we wzruszającą scenkę – wrzód na szyi okazał się wiewiórczęciem, które niczym futrzany kołnierz oplatało szyję matki. Ta ledwie mogła oddychać, co w połączeniu z zabójczym upałem powodowało, że za każdym razem tchu jej starczało na zrobienie ledwie paru kroków, aż w końcu wyczerpana padła na bok i z najwyższym trudem łapała oddech.

Wiewiórcze matki z poświęceniem troszczą się o potomstwo. W razie niebezpieczeństwa dźwigają swoje młode w opisany sposób w bezpieczne miejsce. Zwierzęta porządnie muszą się przy tym namęczyć, bo w miocie może być do sześciu malców, a każdego z nich samica transportuje obwiniełego wokół swojej szyi. Mimo tej pieczy współczynnik przeżywalności młodych jest niewielki, około osiemnastu procent nie dożyje dnia pierwszych urodzin. Choć raczej trzeba tu mówić o nocach – za dnia rude skrzaty potrafią umknąć większości swych wrogów, we śnie nadchodzi śmierć. To wtedy kuny leśne wspinają się po gałęziach i zaskakują śpiące zwierzęta. Za to pod słonecznym niebem krążą jastrzębie, które śmigają brawurowym lotem między pniami drzew, wypatrując smacznego posiłku. Gdy dojrzą wiewiórkę, rozpoczyna się spirala śmierci. I należy to rozumieć dosłownie. Bo wiewiórka próbuje uciec ptakowi, znikając po drugiej stronie drzewa. Jastrząb zaś bierze ciasny zakręt, ścigając swą zdobycz. Wiewiórka w mgnieniu oka ponownie skrywa się za drzewem, ptak ją goni i w ten sposób oba zwierzęta w zawrotnym tempie wirują po spirali wokół pnia. Wygrywa zwinniejszy i jest nim przeważnie maleńki ssak.

Jednak wrogiem o wiele groźniejszym niż jakiegokolwiek zwierzę jest zima. By się odpowiednio zabezpieczyć na zimną

porę roku, wiewiórki budują wiewiórniki. To kuliste gniazda, zakładane w rozwidleniach gałęzi w koronach drzew. Zwierzątka własnymi łapkami formują dwa wyjścia, żeby móc uciec przed niemiłymi a niezapowiadanyymi gośćmi. Podstawową konstrukcję wiewiórnika tworzy wiele małych gałązek, wewnątrz mieszkanko wysłane jest miękkim mchem. Służy to izolacji cieplnej i wygodzie. Wygodzie? Tak, bo również zwierzęta przykładają wagę do komfortu. Gałęzie, które podczas snu kłują w plecy, są dla wiewiórek równie nieprzyjemne jak dla nas. A miękki materac z mchu gwarantuje błogi sen.

Z okna mojego biura regularnie obserwuję, jak wiewiórki wyskubują miękką trawę z naszego trawnika i transportują wysoko na drzewa. I jeszcze coś zaobserwowałem – gdy tylko jesienią zaczynają spadać z drzew żołędzie i orzeszki bukowe, zwierzątka zbierają pożywne nasiona i zakopują je w ziemi parę metrów dalej. W zimie posłużą jako zapasy. Wiewiórki nie zapadają bowiem w prawdziwy sen zimowy (hibernację), lecz przeważnie spędzają dnie na drzemce, w stanie spoczynku zimowego. Organizm zużywa wówczas mniej energii, ale nie spowalnia całkiem procesów życiowych, jak to się dzieje na przykład u jeży. Wiewiórka budzi się co pewien czas i robi się głodna. Zbiega wtedy zwinnie z drzewa i szuka jednej ze swych licznych spiżarek. I szuka, i szuka, i szuka. W pierwszej chwili śmiesznie to wygląda, gdy widzimy, jak zwierzątko usiłuje sobie przypomnieć, gdzie jest schowek. Tu trochę pogrzebie w ziemi, tam wykopie dołek, a w międzyczasie co chwila przysiadła na łapkach, jak gdyby chciało się przez moment zastanowić. Ale to zbyt trudne zadanie – przecież krajobraz od jesieni

wizualnie mocno się zmienił. Drzewa i krzewy straciły liście, trawa uschła, a na domiar złego często jeszcze śnieg opatulił wszystko maskującą białą watą. I gdy tak patrzę na zrozpaczoną wiewióreczkę wytrwale szukającą spiżarki, ogarnia mnie współczucie. Bo natura właśnie dokonuje bezwzględnej selekcji i większość zapominalskich gryzoni, przeważnie z tegorocznych miotów, nie dożyje wiosny, jako że do tego czasu umrze z głodu. Potem znajduję czasem w starych rezerwatach bukowych małe grupki kielkujących buczków. Bukowa dziatwa wygląda jak motyle na cieniutkich łodyżkach, a zwykle spotyka się je wyłącznie pojedynczo. W grupach występują tylko wtedy, gdy wiewiórki nie pozabierają zakopanych wcześniej orzeszków – nierzadko z zapominalstwa z opisanymi fatalnymi skutkami dla zwierzęcia.

Wiewiórka jednak jest dla mnie znakomitym przykładem tego, w jaki sposób kategoryzujemy świat zwierząt. Z czarnymi oczkami jak guziczki jest przesłodka, ma miękkie, urzekająco rude futerko (istnieją też brązowoczarne odmiany) i nie jest groźna dla ludzi. Z zapomnianych składów zołędzi strzelają na wiosnę młode drzewka, więc można by ją uznać również za założycielkę nowych lasów. Krótko mówiąc, wiewiórka budzi naszą szczerą sympatię. Przemykamy przy tym chętnie oczy na jej ulubione danie – pisklęta. Bo i takie łupieżcze wyprawy obserwuję przez okno w biurze leśniczówki. Gdy wiosną wiewiórka wspina się po pniu, niewielka kolonia kwiczołów gniazdujących na starych sosnach przy wejździe wpada w popłoch. Ptaki kłapią dziobami i skrzeczą, krążąc lotem wiosłującym wokół drzewa i starając się przepędzić intruza. Wiewiórki to ich śmiertelni wrogowie, bo niewzruszenie wybierają z gniazda jednego puchatego

pisklaka po drugim. W dziuplach maluchy też nie są w pełni bezpieczne, ponieważ smukłe łapki wiewiórek, uzbrojone w długie ostre pazury, wyławiają na pozór dobrze chronione pisklęta nawet z wypróchniałych drzew.

Czy więc wiewiórki są raczej złe niż dobre? Ani to, ani to. Kaprys natury sprawił, że przemawiają do naszego instynktu opiekuńczego i w ten sposób budzą pozytywne emocje. Nie ma to nic wspólnego z dobrocią bądź użytecznością. Druga zaś strona medalu, zabijanie równie przez nas kochanych ptaków śpiewających, także nie jest złem. Zwierzęta są głodne, muszą też dbać o swoje młode, zdane na odżywcze mleko matki. Gdyby wiewiórki zaspokajały swe zapotrzebowanie na białko gąsienicami bielinka kapustnika, byłibyśmy zachwyceni. Nasz bilans emocjonalny wypadłby wówczas w stu procentach pozytywnie, bo te szkodniki niszczą nam uprawy warzyw. Jednakże gąsienice bielinka kapustnika również są młodymi zwierzątkami, w tym wypadku dziećmi motyli. I tylko z tego powodu, że przypadkiem gusztują w tych samych roślinach, które znalazły się w naszym jadłospisie, zabijanie motyli dzieci nie stanie się nagle dobrodziejstwem dla natury.

Wiewiórek zresztą nie obchodzi ani na jotę nasza kategoryzacja świata. Mają wystarczająco dużo roboty, troszcząc się o przeżycie i przedłużenie gatunku, a przy tym przede wszystkim dbając o jedno – o radość z życia. Ale wróćmy do miłości macierzyńskiej u rudych skrzatów – czy mogą faktycznie coś podobnego odczuwać? Miłość tak silną, że życie potomstwa staje się ważniejsze niż własne? Czy nie jest to tylko skutek wyrzutu hormonów, buzujących w ich żyłach i inicjujących zaprogramowaną troskliwość? Nauka

skłania się do tego, by podobne procesy biologiczne degradować do mechanizmów przymusowych. Ale zanim z cokolwiek może przesadną rzeczowością zapakujemy wiewiórkę i inne gatunki do takiej szuflady, rzućmy okiem na miłość macierzyńską u ludzi. Co dzieje się w organizmach matek, gdy trzymają w ramionach niemowlę? Czy miłość macierzyńska jest wrodzona? Odpowiedź nauki brzmi – tak. To znaczy nie. Ta miłość nie jest wrodzona, wrodzone są tylko uwarunkowania jej powstania. Tuż przed porodem następuje wyrzut hormonu, oksytocyny, umożliwiającego stworzenie silnej więzi. Dodatkowo uwalniane są duże ilości endorfin, które łagodzą ból i uśmierzają strach. Po porodzie koktajl hormonalny nadal znajduje się we krwi i dzięki temu bobasa wita całkowicie odprężona, pozytywnie nastawiona matka. Karmienie piersią podkręca produkcję oksytocyny i więź między matką a dzieckiem się wzmacnia. Podobnie dzieje się u wielu gatunków zwierząt, także u kóz, które hodujemy w leśniczówce (i które zresztą również produkują oksytocynę). Kozie mamy zaczynają zaznajamiać się z koźlętami, zlizując z nich maź porodową. Procedura ta wzmacnia wzajemne więzi, matka meczy przy tym czule, a dzieci odpowiadają jej wysokim, cieniutkim głosem, tak że zapamiętują wzajem swoje głosy.

Jednak biada, jeśli procedura zlizywania mazi nie dojdzie do skutku! Zwierzęta w naszym stadku zawsze trafiają przed porodem do oddzielnego boksu, żeby mogły urodzić w spokoju. Drzwi boksu mają mały prześwit tuż nad ziemią i podczas jednego z porodów przez ten prześwit wysliznęło się wyjątkowo małe koźlętko. Zanim odkryliśmy katastrofę, minął cenny czas i maź zdążyła już obeschnąć.

W konsekwencji mimo wszelkich naszych starań kozia matka nie przyjęła koźlęcia, a miłość matczyzna nie mogła się rozwinąć. U ludzi często dzieje się podobnie – jeśli noworodki w szpitalach są przez dłuższy czas po porodzie odseparowane od matek, wzrasta prawdopodobieństwo, że miłość macierzyńska się nie pojawi. Nie jest ono jednak tak wysokie i nie ma tak dramatycznych skutków jak u kóz, ponieważ ludzie potrafią się tej miłości nauczyć i nie są zdani wyłącznie na hormony. W przeciwnym wypadku niemożliwe byłoby adopcje, w których obce sobie matki i dzieci spotykają się często dopiero lata całe po porodzie.

Adopcje są dlatego najlepszą sposobnością, żeby sprawdzić, czy miłości macierzyńskiej można się nauczyć i czy nie jest ona tylko odruchem instynktownym. Jednak zanim dokładnie zbadamy to zagadnienie, chciałbym najpierw omówić jakość instynktów.

INSTYNKTY – UCZUCIA DRUGIEGO SORTU?



Często słyszę, że porównania uczuć zwierzęcych i ludzkich do niczego nie prowadzą, bo koniec końców zwierzęta zawsze działają i czują w sposób instynktowny, my natomiast w świadomy. Zanim zaczniemy rozważać, czy działanie instynktowne jest czymś poślednim, przyjrzyjmy się, czym w ogóle są instynkty. Przez to pojęcie nauka rozumie reakcje, które przebiegają w sposób nieświadomy, czyli nie podlegają procesom myślowym. Mogą być zakodowane genetycznie lub wyuczone; wspólną cechą ich wszystkich jest to, że przebiegają bardzo szybko, ponieważ omijają procesy kognitywne w mózgu. Często wszystko zaczyna się od hormonów, których wyrzut następuje z konkretnych powodów (jak na przykład gniew) i które inicjują reakcje w organizmie. Czy zwierzęta są zatem w pełni automatycznie sterowanymi biorobotami? Zanim pochopnie wydamy osąd, powinniśmy bliżej się przyjrzeć własnemu gatunkowi. My również

nie jesteśmy wolni od działań instynktownych, wręcz przeciwnie. Wyobraźcie sobie na przykład rozgrzaną płytę kuchenki. Jeśli niechący położymy na niej rękę, to błyskawicznie szarpniemy ją z powrotem. Nie przeprowadzimy uprzednio świadomej analizy w stylu: „Coś tu podejrzenie pachnie smażonym mięsem, a mnie nagle zaczęła piec ręka. Chyba powinienem ją czym prędzej stąd zabrać”. Nie, cała akcja przebiegnie automatycznie, bez podejmowania świadomych decyzji. Instynkty działają więc także u ludzi; pytanie brzmi tylko, w jak dużym stopniu wpływają na przebieg dnia codziennego.

Chcąc rzucić nieco światła na ten problem, powinniśmy zainteresować się najnowszymi badaniami mózgu. Instytut im. Maxa Plancka w Lipsku opublikował w pewnej rozprawie z 2008 roku zdumiewające doniesienie. Za pomocą tomografów rezonansu magnetycznego, które pozwalają śledzić w komputerze czynności mózgu, obserwowano grupę osób w trakcie podejmowania decyzji (poprzez przyciśnięcie guzika lewą lub prawą ręką). Już do siedmiu sekund przed podjęciem przez badanych świadomego postanowienia można było bez trudu zobaczyć na obrazach czynności mózgu, jak będzie ono wyglądać. Sama czynność była już więc zainicjowana, podczas gdy badani jeszcze się zastanawiali, co powinni wybrać. Widać zatem, że to nie świadomość, lecz podświadomość dawała impuls do podjęcia czynności. Świadomość dostarczała tylko, rzecz by można, uzasadnienia kilka sekund później.

Jako że studia nad tego typu procesami znajdują się jeszcze w powijakach, nie można dzisiaj powiedzieć, ile procent decyzji – i jakiego rodzaju – podejmuje się w opisany sposób

oraz czy możemy się jakoś bronić przed procesami zakodowanymi w podświadomości. Bądź co bądź wystarczające zdumienie budzi fakt, że tak zwana wolna wola niejednokrotnie nie nadąża za rzeczywistością. Właściwie dostarcza ona tylko usprawiedliwienia naszemu przewrażliwionemu ego, które – utwierdzone w ten sposób – za każdym razem czuje się suwerennym panem sytuacji¹.

A jednak w wielu przypadkach rządzi, jak widać, przeciwieństwo, czyli nasza podświadomość. W ostatecznym rozrachunku jest rzeczą obojętną, w jakiej mierze umysł rządzi nami świadomie. Przypuszczalnie zaskakująco wysoki procent reakcji instynktownych dowodzi bowiem tylko jednej rzeczy – przeżywania strachu i żałoby, radości i szczęścia nie zakłóca fakt, że wyzwalają się one instynktownie, to jedynie dowód na to, że ich uruchomienie nie następuje w wyniku świadomej decyzji. Nie ujmuje to w najmniejszej mierze intensywności tym uczuciom. Bo najpóźniej w tym momencie musimy przyznać, że emocje są językiem podświadomości, która dzień w dzień służy nam pomocą, byśmy nie zatonęli w potopie informacji. Ból ręki dotykającej rozgrzanej płyty kuchennej każe wam natychmiast zareagować. Uczucie szczęścia wzmacnia pozytywne działania. Strach chroni przed rozumowym podjęciem takiej decyzji, która mogłaby się okazać niebezpieczna. Tylko nieliczne problemy, które faktycznie mogą i powinny być rozwiązane w drodze refleksji, przenikają do naszej świadomości i są tam w spokoju analizowane.

Uczucia są zatem z samej zasady sprzężone z podświadomością, nie zaś ze świadomością. Gdyby zwierzęta nie miały tej ostatniej, oznaczałoby to tylko tyle, że nie są w stanie

zastanawiać się nad czymkolwiek. Podświadomością natomiast dysponuje każdy gatunek, a ponieważ musi ona spełniać rolę sterującą, każde zwierzę z definicji musi mieć również uczucia. Instynktowna miłość macierzyńska w ogóle nie może być więc drugiego sortu, bo innego jej rodzaju po prostu nie ma. Jedyna różnica między zwierzętami a ludźmi polega na tym, że my potrafimy świadomie ją uruchomić (a także inne uczucia) – na przykład w przypadku adopcji. Nie istnieje tu więc między rodzicami a dzieckiem zrodzona automatycznie w sytuacji porodu, ponieważ pierwsze kontakty nawiązują się nierzadko dopiero o wiele później. Mimo to w miarę upływu czasu pojawia się instynktowna miłość macierzyńska wraz z przynależnym koktajlem hormonów we krwi.

Czy zatem udało się nam wreszcie znaleźć ludzką enklawę emocjonalną, do której zwierzęta nie mają dostępu? Przyjrzyjmy się w tym celu raz jeszcze naszej wiewiórze. Badacze kanadyjscy obserwowali przez ponad dwadzieścia lat jej krewniaków nad Jukonem. Przedmiot studiów stanowiło około siedmiu tysięcy zwierząt i chociaż wiewiórki są samotnikami, to doszło do pięciu przypadków adopcji. Zawsze jednak były to spokrewnione wiewiórczeta, które wychowały obce matki. Adoptowano wyłącznie bratanków i bratanice, siostrzeńców i siostrzenice oraz wnuczeta, co dowodzi, że granice wiewiórczego altruizmu są wyraźnie zakreślone. Z czysto ewolucyjnego punktu widzenia przynosi to korzyść, ponieważ można wówczas zachować i przekazać dalej bardzo podobny zespół cech dziedzicznych². Ponadto pięć przypadków adopcji w ciągu dwudziestu lat raczej nie stanowi niepodważalnego dowodu na postawę zasadniczo przyjazną adopcjom. Rozejrzyjmy się więc po innych gatunkach.

Jak tam sprawa wygląda u psów? W 2012 roku na pierwsze strony gazet trafiła buldożka francuska Baby. Mieszkała w schronisku dla starych zwierząt w Brandenburgii i pewnego dnia przyniesiono tam sześć warchlaczków. Locha została przypuszczalnie zastrzelona przez myśliwych, a pozostawione samym sobie pasiaste maluchy nie miały najmniejszych szans na przeżycie. W schronisku dostały tłuste mleko – i miłość. Mleko pochodziło z butelek opiekunów, natomiast miłość i ciepło zapewniła Baby. Buldożka z miejsca zaadoptowała całe stadko, które wtulone w nią zasnęło. W ciągu dnia również czujnie pilnowała gromadki łobuziaków³. Czy to prawdziwa adopcja? Ostatecznie nie karmiła warchlaków piersią, ale i w wypadku ludzkich adopcji to się nie zdarza. Abstrahując od tego, istnieją relacje dotyczące psów, jak np. kubańskiej suki imieniem Yeti, która to akurat robiła. Jej własne szczeniaki już rozdano, z wyjątkiem jednego, tak że miała jeszcze dużo mleka. A ponieważ równocześnie w gospodarstwie kilka świń miało małe, Yeti bez namysłu adoptowała czternaścioro prosiąt, chociaż ich matki żyły. Maluchy podążały za nową mamą po obejściu, a przede wszystkim – ssały ją⁴.

Czy to była świadoma adopcja? A może Yeti miała za dużo uczuć macierzyńskich i po prostu projektowała je na prosiaczki? Takie same pytania możemy zadać również w przypadku ludzkich adopcji, kiedy silne uczucia szukają ujścia i je znajdują. Nawet trzymanie psów i innych zwierząt domowych można porównać z adopcjami między różnymi gatunkami zwierząt – w końcu rozmaite czworonogi są przyjmowane do ludzkich wspólnot jako niemal pełnoprawni członkowie rodzin.

Istnieją jednak jeszcze inne przypadki, kiedy to za motywację do działania nie odpowiada nadmiar hormonów czy też zbyt duża ilość mleka. Wzruszającym przykładem jest tu wrona o imieniu Mojżesz, ale najpierw dwa słowa tytułem wstępu. Gdy ptaki tracą lęg, dysponują jeszcze jedną, daną im przez naturę, szansą wyładowania niewyżytych instynktów – mogą po prostu zacząć od nowa i ponownie złożyć jaja. Taka więc pojedyncza wrona jak Mojżesz nie ma żadnego powodu do matkowania innym zwierzętom. A do tego jeszcze Mojżesz wyszukał sobie akurat potencjalnego wroga – kota domowego. Fakt, kociątko było naprawdę małe i dość bezradne, bo najwyraźniej straciło matkę i od dawna już mało co jadło. Zabłąkane zwierzątko pojawiło się w ogrodzie Ann i Wally'ego Collito. Mieszkali oni w domku w North Attleboro w Massachusetts i od tamtej chwili zyskali możliwość czynienia zdumiewających obserwacji. A to dlatego, że do kociątka dołączyła wrona, która najwyraźniej zaopiekowała się kocim dzieckiem. Ptak karmił sierotkę dżdżownicami i chrząszczami, na co naturalnie państwo Collito nie mogli patrzeć bezczynnie i zaoferowali kociakowi odpowiedni pokarm. Przyjaźń między wroną a dorosłą już domową tygrysyką trwała aż do chwili, gdy pięć lat później ptak gdzieś zniknął.

Wróćmy jednakże do instynktów. To, czy uczucia macierzyńskie są wyzwalane przez rozkazy podświadomości, czy też przez świadomą refleksję, nie stanowi moim zdaniem jakościowej różnicy. Ostatecznie w obu wypadkach są tak samo odczuwane (!). Nie ulega wątpliwości, że u ludzi mamy do czynienia z jednym i drugim, przy czym instynkty rozbudzane hormonalnie stanowią zapewne częstszy wariant.

Nawet jeśli zwierzęta nie są w stanie świadomie uruchomić w sobie miłości macierzyńskiej (tu jednak adopcja maluchów innego gatunku powinna nas skłonić do refleksji), to pozostaje opcja podświadoma, a ta jest co najmniej tyleż piękna, co intensywna. Wiewiórka przenosząca swoje uczepione u szyi dziecko przez rozpalony słońcem trawnik czyni to z głębokiej miłości – przez co scena ta we wspomnieniach staje się dla mnie jeszcze piękniejsza.

O MIŁOŚCI DO LUDZI



Czy zwierzęta mogą nas naprawdę kochać? Na przykładzie wiewiórki zdążyliśmy zobaczyć, jak trudno jest zweryfikować to uczucie już choćby wśród zwierząt tego samego gatunku. Ale miłość wyrastająca ponad granice gatunków – i do tego jeszcze akurat do nas, do ludzi? Trudno oprzeć się wrażeniu, że mamy tu do czynienia z myśleniem życzeniowym w czystej formie, ułatwiającym akceptację faktu, że trzymamy w niewoli zwierzęta domowe.

Przyjrzyjmy się najpierw raz jeszcze miłości między matką a dzieckiem. Rzeczywiście potrafimy wzbudzić jej szczególnie silną odmianę, z czym mogłem się zapoznać już jako nastolatek.

Już wtedy moje zainteresowania ogniskowały się wokół przyrody i środowiska naturalnego, więc każdą wolną chwilę spędzałem w lesie lub nad jeziorami powstałymi na terenie dawnych wyrobisk piasku nieopodal Renu. Naśladowałem

kumkanie żab, by sprowokować je do odpowiedzi, w słokach na przetwory trzymałem przez pewien czas pająki, by je obserwować, i hodowałem mączniki młynarki, by zobaczyć, jak się przeistaczają w czarne chrząszcze. A wieczorami rozczytywałem się w książkach o etologii (bez obaw – dzieła Karola Maya i Jacka Londona też leżały na mojej szafce nocnej). W jednej z nich przeczytałem, że pisklętom można wdrukować również obraz człowieka jako matki. W tym celu należy jedynie wysiedzieć jajko i tuż przed wykluciem się pisklaka „rozmawiać” z nim, żeby małe stworzonko już wówczas trwale uznało za matkę tę właśnie osobę, a nie ptasią samicę. Ta więc przetrwa całe życie. Niesamowite! Mój ojciec hodował wówczas w ogrodzie kilka kur i koguta i w ten sposób miałem dostęp do zapłodnionych jaj. Nie miałem jednak wylęgarki, tak więc musiała mi starczyć stara poduszka elektryczna. Ale problem polegał na tym, że temperatura wylęgania dla kurzych jaj wynosi 38 stopni, jaja zaś trzeba codziennie wielokrotnie obracać i za każdym razem troszkę się wychładzają. To, w czym kwoka z natury jest mistrzynią, dla mnie oznaczało mozolne kombinacje z użyciem szalika i termometru. Przez dwadzieścia jeden dni mierzyłem temperaturę, drapowałem raz więcej, raz mniej warstw szalika na jajku, pieczołowicie je obracałem, a na kilka dni przed wyliczoną datą lęgu zabrałem się do rozmów sam ze sobą. I faktycznie – punktualnie dwudziestego pierwszego dnia maleńki kłębek puchu wydziobał sobie drogę na wolność i natychmiast został przeze mnie ochrzczony Robin Hoodem.

Trudno uwierzyć, jak słodki był ten pisklak! Żółte piórka miał nakrapiane, czarne oczka jak guziczki wpatrywały

się we mnie. Nie odstępował mnie ani na krok, a gdy zdarzyło mi się gdzieś zniknąć, od razu rozlegało się trwożliwe popiskiwanie. Robin zawsze był ze mną, wszystko jedno, czy w toalecie, przed telewizorem czy koło łóżka. Tylko gdy szedłem do szkoły, z ciężkim sercem zostawiałem malucha samego, ale tym goręcej byłem za każdym razem witany po powrocie. Jednak ta głęboka więź coraz bardziej mi ciążyła. Mój brat zlitował się nade mną i co pewien czas przejmował opiekę nad Robinem, żebym mógł czasem zrobić coś bez niego, lecz w końcu i brat miał już dosyć. Robin, który tymczasem wyrósł na młodą kurę, powędrował do byłego nauczyciela angielskiego, ogromnego miłośnika zwierząt. Mężczyzna i kura szybko się zaprzyjaźnili i jeszcze przez długi czas widywano oboje na spacerach w sąsiedniej wiosce – nauczyciela na własnych nogach, a Robina na jego ramieniu.

Można uznać za dowiedzione, że Robin nawiązał prawdziwą więź uczuciową. Podobne historie może opowiedzieć każdy hodowca, który zastępował młodym zwierzętom matkę. Jagnięta, chowane na butelce przez moją żonę, przez całe życie były do niej bardzo przywiązane. Człowiek odgrywa tu rolę matki zastępczej, co zawsze wzrusza. Jednak ta więź nie jest taka całkiem dobrowolna, przynajmniej ze strony zwierzęcia, nawet jeśli zawdzięcza jej życie. O ileż piękniej by było, gdyby stworzonko przywiązało się do nas z własnej woli i chciało zostać z nami. Ale czy takie zjawisko w ogóle istnieje?

Żeby to sprawdzić, musimy porzucić temat miłości matczynej i rozejrzeć się szerzej za podobnymi więzami. W końcu każde zwierzę powinno dorosnąć, a tym samym być w stanie samodzielnie zdecydować, czy chce nam towarzyszyć, czy też raczej woli pozostać niezależne. Nie bez powodu wiele kotów

i psów trafia do nas jako kocie czy psie niemowlaki – umyślnie odbieramy tym szkrabom możliwość jakiegokolwiek decyzji. I należy to rozumieć jak najbardziej pozytywnie – po kilku dniach adaptacji, być może odczuwania niewielkiej tęsknoty za mamą, parotygodniowe zwierzątka szybko przywiązują się do nowego opiekuna, a takie więzi, podobnie jak w wypadku jagniąt chowanych na butelce, odznaczają się przez całe życie szczególną intensywnością. Wszyscy świetnie się czują, a mimo to pozostaje pytanie – czy dorosłe zwierzęta są w stanie dobrowolnie towarzyszyć człowiekowi?

W wypadku zwierząt domowych można bez wątpienia dać twierdzącą odpowiedź; istnieją niezliczone przykłady wałęsających się kotów i psów, które wręcz narzucają się troskliwym dwunogom. Jednak chcąc odpowiedzieć na powyższe pytanie, radziłbym przyjrzeć się dzikim zwierzętom, ponieważ one nie zostały obłaskawione drogą hodowli, a tym samym nie nabrały gotowości do towarzyszenia ludziom. I jeszcze jedno chciałbym od razu wykluczyć – obłaskawienie wskutek karmienia. A to dlatego, że dokarmiane dzikie zwierzęta chcą się po prostu najeść i z tego powodu, kiedy już się przyzwyczają, tolerują naszą obecność. Jak bardzo może to być uciążliwe, przekonali się nasi dawni sąsiedzi na przykładzie pewnej wiewiórki. Długie tygodnie przywabiali zwierzaka orzeszkami ziemnymi, tak że w końcu podchodził aż do otwartych drzwi na taras. Cieszyli się z małego skrzata, który stał się niemal członkiem rodziny. Ale biada, gdy ludzki dostawca karmy nie dość szybko stawiał się na zawołanie – bo wtedy wiewiór niecierpliwie drapał w futrynę i w ciągu ledwie paru tygodni zdołał ją zniszczyć. Pazury wiewiórki są ostre jak nóż.

Przyjaźń dzikich zwierząt z ludźmi spotykamy częściej na morzach – wśród delfinów. Wyjątkową gwiazdą jest Fungie, mieszkający w zatoce Dingle u wybrzeży Irlandii. Często się pokazuje, towarzyszy małym statkom wycieczkowym i kręci salta przed widzami, tak że stał się prawdziwym magnesem turystycznym, reklamowanym w oficjalnych broszurach. A nawet jeśli ktoś wskoczy do niego do wody, nie ma się czego bać – wielki morski ssak towarzyszy pływakom i w ten sposób zapewnia im doznanie szczęścia wyjątkowego rodzaju. Obłaskawienie tego zwierzęcia nie zasada się na karmieniu, bo delfin je nawet odrzuca.

Bez Fungiego nie sposób sobie wyobrazić życia miasteczka Dingle już od ponad trzydziestu lat. Czy to nie wzruszające? Najwyraźniej nie dla wszystkich, bo dziennik „Die Welt” przeprowadził rozmowy z naukowcami, zadając im przy okazji pytanie, czy to zwierzę nie jest przypadkiem szalone. Być może ten oryginał przywiązał się do ludzi, bo żaden delfin go nie lubi?⁶

Pomijając fakt, że sympatia ludzi do zwierząt często wynika z podobnych powodów, czyli na przykład z samotności wywołanej utratą partnera, chciałbym jednak dalej szukać odpowiedzi na pytanie wśród rodzimych zwierząt lądowych. A nie jest to bynajmniej proste. Gdyż wspólną cechą charakterystyczną dzikich zwierząt jest właśnie to, że są dzikie i z tego powodu nie szukają zwykle kontaktów z ludźmi. Dodać trzeba jeszcze dziesiątki tysięcy lat, kiedy to człowiek polował na swych zwierzęcych krewniaków. Wykształciły więc na drodze ewolucji lęk przed nami – kto w porę nie ucieknie, temu grozi śmierć. I dla bardzo wielu zwierząt nic się po dziś dzień nie zmieniło, wystarczy rzucić okiem na listę

gatunków zwierząt łownych. Nieważne, czy chodzi o duże ssaki, jak jeleni, sarna i dzik, czy o mniejsze czworonogi, jak lis i zając, czy też o ptaki, od krukowatych przez gęsi i kaczki po bekasowate – wszystkie giną rokrocznie tysiącami pod gradem kul. Pewna nieufność względem wszystkich dwunogów jest w tej sytuacji aż nadto zrozumiała. Tym piękniej, gdy tak podejrzliwe stworzenie się przełamuje i mimo wszystko szuka z nami kontaktu.

Co jednak mogłoby je do tego skłaniać? Wabienie pożywieniem się nie liczy, bo wtedy nie wiemy, czy powodem nie jest zwykły głód, który tłumi strach. Ale istnieje jeszcze inna siła, bardzo ważna również dla ludzi, a mianowicie ciekawość. I takie właśnie ciekawskie renifery moja żona Miriam i ja mieliśmy okazję poznać w Laponii. No dobrze, nie są one w pełni dzikie, bo ludność rdzenna, Samowie, hoduje je w stadach i za pomocą helikopterów oraz motocykli crosowych spędza w upatrzone miejsce, gdy chce wyselekcjonować zwierzęta na ubój lub do oznakowania. Niemniej jednak zachowały one charakter dzikich zwierząt i wobec ludzi są zwykle bardzo nieśmiałe. Spaliśmy w namiocie w górach na terenie Parku Narodowego Sarek i o poranku jako prawdziwy skowronek ja pierwszy wyczołgałem się ze śpiwora. Podziwiałem właśnie zapierający dech w piersiach krajobraz nietknięty ludzką ręką, gdy nagle odnotowałem jakiś ruch tuż koło mnie. Renifer! Jeden? Nie, kolejne renifery schodziły za nim ze zbocza, więc zbudziłem Miriam, żeby też mogła je zobaczyć. Podczas śniadania ciągle pojawiały się następne, aż wreszcie całe stado zebrało się wokół nas – około trzystu zwierząt. Przez cały dzień pozostawały w pobliżu naszego namiotu, a pewien cielak odważył się nawet podejść na

odległość metra od nas, by ułożyć się na poobiednią drzemkę obok namiotu. Mieliśmy wrażenie, że jesteśmy w raj.

O tym, że zwierzęta te są naprawdę nieśmiałe, przekonaliśmy się na przykładzie niewielkiej grupy wędrowców. Na ich widok stado się wycofało, by później powrócić na równinę wokół namiotu. Wyraźnie dało się przy tym zauważyć, że pojedyncze okazy bardzo się nami interesowały. Z szeroko rozwartymi oczami i nozdrzami starały się zgłębić naszą tajemnicę, a dla nas było to najpiękniejsze przeżycie całej wyprawy. Nie wiemy, dlaczego były tak ufne względem nas. Być może nasze codzienne zajmowanie się zwierzętami powoduje, że zachowujemy się spokojniej, a przez to wydajemy się mniej niebezpieczni.

Każdy może zaznać podobnych przeżyć wszędzie tam, gdzie nie poluje się na zwierzęta. W parkach narodowych Afryki, na wyspach Galapagos czy też w tundrze na dalekiej Północy – żyjące tam gatunki nie miały jeszcze z nami złych doświadczeń, więc pozwalają ludziom bardzo blisko do siebie podejść. A od czasu do czasu trafiają się zainteresowane osobniki, które chcą sobie obejrzeć osobliwego gościa szwendającego się po ich rewirze. To właśnie takie spotkania potrafią nas wyjątkowo uszczęśliwić, bo obie strony działają na zasadzie absolutnej dobrowolności.

Trudno dowieść istnienia szczerzej, nieprzymuszonej miłości zwierzęcia do człowieka i nawet pisklak Robin Hood nie miał wyjścia i musiał mnie kochać. A w drugą stronę? O istnieniu miłości ludzi do zwierząt mogą zaświadczyć wszyscy właściciele kotów, psów i innych zwierząt domowych. Ale co z jakością tej miłości? Czy zwierzęta nie służą tu jedynie jako płaszczyzna naszych projekcji i nie dostarczają nam

satysfakcji w sytuacji, gdy nie mamy potomstwa, partner nam umarł lub otrzymujemy zbyt mało uwagi od bliznich? Ten temat to pole minowe, które aż nazbyt chętnie wolałbym ominąć. Jednak jeśli mówimy o uczuciach zwierząt, to powinniśmy również zadać pytanie, co emocjonalne zaangażowanie z naszej strony robi z czworonogami. Przede wszystkim deformuje zwierzęta, i to w dosłownym rozumieniu tego słowa. Bo hodowla psów i kotów już od dawna w większości wypadków nie służy uzyskaniu wyjątkowo sprawnych pomocników w polowaniu (na zająca, sarnę czy mysz). Są one raczej dopasowywane pod względem zarówno charakteru, jak i wyglądu do naszych potrzeb, by kogoś tulić i ścisnąć. Dobrym przykładem są tu buldogi francuskie – kiedyś uważałem je za brzydactwa, a ich skrócone pyski z licznymi fałdami nad zadartym nosem, co zmusza psy do chrapania, za dowód upośledzenia tych zwierząt. Jednak wtedy poznałem Crusty'ego, błękitnoszarego psiaka, którym od czasu do czasu mamy zaszczyt się opiekować. Natychmiast podbił moje serce i kompletnie przestało mnie obchodzić, jak został wyhodowany – po prostu był taki słodki. Gdy inne psy po pięciu minutach mają dość głaskania, Crusty może godzinami napawać się pieszczotą. Jeśli przestaniemy, szturcha nas prosząco nosem w rękę i patrzy wielkimi oczami. Najchętniej spałby na brzuchu swego pańcia, pochrapując z zadowoleniem.

Czy coś takiego naprawdę może być złe? Naturalnie ta rasa została wyhodowana jako psy salonowe, coś w rodzaju żywych pluszaków. Nie chcę oceniać, czy jest to moralnie uzasadnione, raczej należy pytać o psie samopoczucie w takiej sytuacji. Bo jeśli ma on podwyższoną wskutek hodowli

potrzebę mizianek, jeśli do tego wygląda tak, że każdy (dosłownie każdy!) chce z miejsca zaspokajać tę jego potrzebę, to z czym taki pies mógłby mieć problem? Najwyraźniej czuje się znakomicie, człowiek i zwierzę dostają to, czego potrzebują. Jedynie powód, z którego zrodziła się ta potrzeba – zmiany genetyczne wskutek hodowli ukierunkowanej w tę właśnie stronę – pozostawia leciutki i nieco gorzki posmak.

Inaczej sprawa wygląda, gdy potrzeby zwierzęcia, czy to naturalne, czy też wszczepione w hodowli, nie są zaspokajane. Gdy miłość tak nas zaślepia, że zwierzę jest traktowane jak człowiek w przebraniu psa. Może wtedy dojść do tego, że u przekarmionego, niewybieganego i nieodpornego na różne bodźce pogodowe (co zapewniają np. spacer w śniegu) psa wystąpią poważne zaburzenia zdrowotne, z którymi rozpieszczone zwierzęta będą się męczyć aż do śmierci.

Koguty okłamujące kury? Zawstydzone konie?

Łanie pogrążone w żałobie? To przejawy fantazji ekologów czy naukowo udowodnione fakty z życia zwierząt? Czy bogate życie uczuciowe nie jest zastrzeżone jedynie dla ludzi?

Peter Wohlleben, leśnik i miłośnik przyrody, korzystając z najnowszych badań oraz własnych obserwacji, udowadnia, że zwierzęta i ludzie w sferze uczuć i doznań są do siebie podobni. Odkrywa przed nami niesamowite historie zwierząt, w których możemy dostrzec ich mądrość, współczucie, troskę czy przyjaźń. Podobnie jak w bestsellerowym *Sekretnym życiu drzew* Wohlleben przedstawia w fascynujący sposób świat przyrody, którego nie znamy. Kochasz zwierzęta? Dzięki tej książce przekonasz się, że są ci bliższe, niż ci się zdawało.



Peter Wohlleben

Leśnik z ponaddwudziestoletnim stażem w Zarządzie Lasów Państwowych w Niemczech. Zrezygnował z posady urzędniczej, aby swoją wizję ochrony przyrody wcielić w życie. Obecnie opiekuje się lasami w Reńskich Górach Łupkowych. Tam z powodzeniem praktykuje leśnictwo oparte na ekologicznych i ekonomicznych podstawach. Jest częstym gościem w programach telewizyjnych. Swoją wiedzę chętnie dzieli się w licznych publikacjach i podczas seminariów.



PRZECZYTAJ TAKŻE

W lesie dzieją się zdumiewające rzeczy. Są tam drzewa, które porozumiewają się ze sobą, drzewa, które z oddaniem troszczą się o swe potomstwo oraz pielęgnują starych i chorych sąsiadów, drzewa, które doświadczają wrażeń, mają uczucia i pamięć. Niewiarygodne? Ale prawdziwe!



E-book dostępny na

woblink.com

ISBN 978-83-7515-435-1



9 788375 154351

Cena detal. 34,90 zł

www.otwarte.eu